***Koleżeńska uczta***

Przed sądem grodzkim stanął wczoraj 18-letni Władysław M., goniec jednej z firm handlowych, oskarżony przez woźnego o przywłaszczenie dwustu złotych, danych mu celem wykupienia weksla.

Sędzia przed przysięgą pyta woźnego, wskazując na oskarżonego:

- Czy nie krewny?  
 - Owszem, krewny!  
 - Jak to? Krewny?  
 - No… niby… Władek krewny mi jest te dwieście złotych, co nawalił, a ja ze swojej pensji musiałem do biura zwrócić!  
 - Ależ nie o to chodzi. Sąd pyta, czy oskarżyciel nie jest spokrewniony z oskarżonym? Czy nie są braćmi, kuzynami?  
 - Nie.  
 - Proszę opowiedzieć, jak to było.  
 - Zwyczajnie, proszę wysokiego sądu.  
 I woźny w wymownych słowach opowiada, jak wysłał Władka z pieniędzmi, które ten przepuścił, a potem wariata strugał. Miał stratę odrobić, ale odszedł i pieniądze przepadły.  
 Z kolei tłumaczył się Władek. Wekslu rzeczywiście nie wykupił, bo było już za późno: - Bank zamkli. – Potem poszedł z kolegami do kina i na kolację, którą fundował z własnej gotówki. Upił się, odprowadzono go do domu i w tym czasie ktoś mu podchoda zrobił, ale kto, tego nie wie. Chciał odrobić, zwrócić wszystko ratami, ale zachorował i stracił posadę.  
 Sędzia postanowił zbadać świadków, uczestników fatalnej libacji. Byli nimi koledzy oskarżonego z lat dziecinnych, kiedy to jeszcze Władek nie piastował odpowiedzialnego stanowiska, ale po prostu sprzedawał gazety.  
 - Ilu was tam było na tej kolacji? – pyta sąd eleganckiego młodzieńca w kanarkowych rękawiczkach.  
 - Zaraz, zaraz, panie sędzio… Byłem ja… Franek Orzechoszczak… to dwóch. Józiek Wariat z Budów, to trzech… Stasiek Lemoniada i Bielas, to już mamy pięciu. No a szósty był Władek z forsą.  
 Dobrze mówię. Sześciu nas było.  
 - Ileż kosztowała ta kolacja?  
 - Trzydzieści cztery złote z groszamy. Kolacja była nie można powiedzieć. Trzy setki wódki na twarz. Minogi z musztardą. Potem każdy opchnął marnowanego katolika, to znaczy śledzia. Potem przynieśli nogów na zimno i komput. Na końcu byli ciastka z kremem i kiełbasa z kapustą… Wyszliśmy na ulicę i każdy poszedł w swoją stronę.  
 Kto mógł Władka okraść, nie wiem.  
 Sąd biorąc pod uwagę brak przyznania się do winy, skazał Władysława M. na trzy miesiące więzienia bez zawieszenia kary.

***Dobra opinia to skarb***

Do najstarszych bezsprzecznie rodów złodziejskich należą Kiziorowie z ul. Ptasiej. Już podczas wjazdu króla Sobieskiego do Warszawy, po zwycięstwie pod Wiedniem, Szymon Kizior wyciągnął sakiewkę z dukatami zza pasa rajcy miejskiemu imć panu Fukierowi.  
 Od tej pory ród pozostaje wierny tej tradycji, pracując z pokolenia na pokolenie w obranym przez praojców fachu, jednak idąc zawsze z postępem i stosując w rzemiośle najnowsze zdobycze techniki.  
 I tak pan Ignacy Kizior, obecny senior rodu, jest ogólnie szanowanym pajęczarzem.  
 Jego małżonka, pani Waleria, oddaje się z zamiłowaniem szopenfeldowi, młodzież zaś specjalizuje się w różnych gałęziach: dwaj synowie pracują w dyplomacji jako konsulowie od wyciągania dolarów, córka zaś, panna Maria, trudni się podchodem.  
 Dziewczyna ta, poznawszy nieopodal Dworca Głównego miłego kresowca pana J.B. przywiozła go do rodzinnego gniazda. Wyszedł mu na spotkanie siwy ojciec rodu, uściskał i poprosił na pokoje.  
 Wkrótce nadeszli z miasta synowie, wypitko kilka butelek wódki, wszyscy ściskali gościa i nawet nie spostrzegł, kiedy mu zginął portfel z 300 złotymi.